

**ELIZA
ORZESZKOWA**

PAN
KAPROWSKI

Eliza Orzeszkowa

Pan Kaprowski

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843286

Pan Kaprowski:

Аннотация

Skrócona wersja powieści „Niziny”. On – panicz z dworu. Ona – chłopka z czworaków. Dwie dekady później ich nieślubne dziecko trafia do carskiego wojska i trzeba chłopaka jakoś ratować. Historia obyczajowa w prawdziwie ziemiańskim stylu. Młodzieńczy romans kończy się przewidywalnie: on wychodzi za szlachciankę, ona zostaje w czworakach z nieślubnym dzieckiem. Wszystko zostaje zamiecione pod dywan – przez dwadzieścia lat sprawa trzymana jest tajemnicy przed żoną panicza. Pewnego dnia do dworu przyjeżdża prawnik, pan Kaprowski. Jego przybycie sporo zmieni. Eliza Orzeszkowa jest jedną z najważniejszych pisarek polskich epoki pozytywizmu. Jej utwory cechuje ogromne wyczucie na problemy społeczne – w mowie pogrzebowej Józef Kotarbiński nazwał ją wręcz „czującym sercem epoki”.

Содержание

Rozdział pierwszy. U ekonoma	4
Rozdział drugi. Pan Kaprowski	13
Rozdział trzeci. Usłużny doradca	17
Конец ознакомительного фрагмента.	23

Eliza Orzeszkowa

Pan Kaprowski

Rozdział pierwszy. U ekonoma

Wiosenny wieczór spadł na pole, ziejąc mocną wonią świeżo zoranej ziemi. Mglisto było, pochmurno i cicho. Drogą, zrzadka obsadzoną drzewami, szła kobieta bosa i w siermiędze. W zmroku i mgłę szła prędko i prosto, nie omijając kałuż ani głębokich kolein, które z pod bosych stóp jej tryskały wodą i rzadkiem marcowym błotem. Bose te stopy ciężkie były i silne, doskonale znać zżyte z ziemią, po której stąpały. Wszystko jedno było idącej kobiecie, co ją otaczało, byleby jak najprędzej doszła do tego, co było przed nią. Nie lękała się niczego: ani zwiększającej się coraz ciemności, ani obejmującej widnokrąg ciszy, ani rozsianych po polu grusz i topoli. Szła i szła...

Przed nią, w końcu drogi, błysnęły dwa oświetlone okna. Były tam budynki jakiegoś folwarku, otoczone prostym polem z ostrokołów. Pomiedzy długą stodołą a ogrodem warzywnym można było rozpoznać z prostych też kołów zrobioną i na jedną tylko stronę otwierającą się bramę. Brama ta w tej chwili właśnie skrzypnęła, posunęła się z ciężkością i zaryła się w błocie tak, że posuwająca ją ręka targać nią zaczęła. Z łoskotem, sprawionym przez trzęsienie i targanie bramy, złączył się gruby, męski głos:

– A psia para!

Człowiek z ciężkim worem na plecach stękając przecisnął się przez ciasny otwór i począł iść drogą w kierunku przeciwnym temu, w jakim dążyła kobieta. Zdawało się zrazu, że rozminą się nie zwracając na siebie żadnej uwagi. Chłop jednak, nie odwracając twarzy, zgarbiony trochę pod ciężarem niesionego wora, przemówił:

– Krystyna?

– Ja, – odpowiedziała kobieta.

– Jaki djabeł nosi ciebie po nocy?

– Ten sam co i ciebie – odrzuciła,

Z głosu, jakim przemówili do siebie, wnosić byłoby można, że nienawidzili się, albo zostawali z sobą w zażartej kłótni. Jednak chłop przystanął.

– Czego? – zapytał znowu.

– Do ekonoma, – odrzekła kobieta i przystanęła także. Stali zdaleka od siebie u dwóch brzegów drogi.

– Ordynarja? – zapytała, ruchem głowy na wór wskazując.

– A ino, ćwiartka żyta za przeszły miesiąc... z pośladem zmięszała... żeby jej kości pokręciło.

– Kto? Wyszyńska, czy ona wydawała?

– Dyć ona... czarownica! Żeby on wydawał, pośladu by nie dał... ale sama z kluczami przyleciała. – „Dawaj chamie worek!” I nasypała pół żyta, a pół plewy... żeby jej tak chorób nasypało...

W miarę jak chłop mówił, Krystyna zbliżała się ku niemu. Gdy stanęła, widać było, że wpatrzyła się w twarz towarzysza.

– Oj! Jasiiek, Jasiiek! Żeby ona dzień i noc sypała, nie nasypałaby tobie tyle plewy, ile łez wylało się przez nią z moich oczu... Oczy ja przez nią nad sobą i synkami memi wyplakiwałam i myślałam, że za moją krzywdę Pan Bóg na nią prędko koniec zesze. Nie zesłał. Panuje i króluje.

Stała prosto i trzęsła głową. Chłop raz tylko lekceważącym ruchem głową kiwnął.

– Aha! – mruknął.

Wnet jednak zapytał.

– Czego ty tam leziesz? Popatrzeć jeszcze chce się? Kiedy młoda byłaś, wypędził, to co już teraz leżć w oczy? Spałabyś lepiej w chacie na piecu!

Wyprostowana wciąż i nieruchomym wzrokiem w towarzysza wpatrzona, brodę ująwszy w palce prawej ręki, kobieta mówić zaczęła.

– Wypędził, to wypędził... Ale dlaczego on wprzódy swatów, co przyjeżdżali do mnie, wypędzał? Kiedy nie lubił, to dlaczego swatów wypędzał?

Wymówiła to rozżalonym głosem.

I dalej tak samo mówiła.

– Mówił bywało: „Krysiu, poczekaj tylko! jak ekonomem mnie zrobią, ożenię się z tobą!” Swatów wypędzał. Ani mnie kiedy družki na dzieży sadzały, ani mi śpiewały przy oczepinach, ani ja ziarno w kąty mężowskiej chaty sypała, ani mi organista na organach przygrywał...

Jasiiek niecierpliwym ruchem wór na plecach poprawił.

– Ot – rzekł – przypomniała sobie baba dawne czasy i płacze...

Ale Krystyna mówiła dalej.

– Nikt mi w gospodarstwie nie pomagał, nikt synków moich nie niańczył, nikt mnie biednej nigdy nie pożałował. Sama jedna żyłam, pracowałam, harowałam, skórę z rąk sobie zdzierałam, bosom chodziła, z postem jadałam, a wszystko dla synków moich.

– Dosyć, dosyć – mruknął Jasek – chodź do chaty! razem iść weselej będzie!

– Nie mogę ja iść do chaty, Jaśku, nie mogę do chaty! – zawiodła kobieta. – Muszę iść do Wyszyńskiego i pokłonić się mu nisko i o ratunek dla mego Filipka poprosić...

– Aha! – mruknął chłop, jakby teraz zrozumiał, czego Krystyna szła do ekonoma.

– Mądrzejszy on odemnie... może zlituje się nad swoim własnym dzieckiem... może poradzi... może pomoże... może poratuje...

– Aha! – powtórzył chłop.

I dodał:

– To idź z Bogiem!

– Bóg z tobą – powtórzyła, i rozeszli się.

Rozstanie to było nagłe i pożegnanie krótkie.

Jemu ciężko było stać z ćwiartką żyta na plecach; jej było pilno prosić o ratunek dla Filipka. Zresztą mieszkać musieli razem albo blisko siebie, bo, uszedłszy kilkanaście kroków,

chłop odwrócił się i rzucił zapytanie?

– Kiedy wrócisz do chaty?

– Dziś, zaraz! albo ja tu hulać będę? – odkrzyknęła.

Przez ten sam otwór uchylonej nieco bramy, przez który z worem swym przecisnął się Jasiek, z łatwością Krystyna weszła na ciemny i błotnisty dziedziniec folwarku. Pośrodku dziedzińca kilka drzew widać było na szarem tle zmroku. Kilka szerokich promieni padało na nie z dwu oświetlonych okien niewielkiego domu, złocąc gałęzie. Krystyna stanęła pod drzewami temi, i ukryta całkiem w ich czerności czekała. Niebawem z domu wyszedł mężczyzna średniego wzrostu, barczysty, ciężki, z odkrytą głową. Ciężko stanął, z ganku zeskoczył i kilka kroków uszedł. Z głębokiej czerności ozwało się bardzo ciche wołanie:

– Panie mój, panie!

Wyszyński stanął, a w tejże chwili wysunęła się Krystyna. Bose jej nogi grzęzły w błocie, wysoka i cienka postać w grubej siermiędze zgarbiła się pokornie, głowę czerwoną chustką owinęła, schyliła do ukłonu tak, że twarzy niepodobna było rozpoznać. Oczy tylko poznał śnać Wyszyński.

– Aha! to ty Krysiu! – mruknął.

Czego na światło wyłazisz? – z przerażeniem szeptać zaczął, – chowaj się prędko! stań tam między drzewami! No, czego więc chcesz, gadaj prędko, bo jak baby, broń Boże, zobaczą, będziem się mieli spyszna. Czego chcesz?

Chłopka w siermiędze i z nisko schyloną głową schowała się znowu w tej ciemności czarnej, w której, gdy zniknęła, ozwał się

szept stłumiony:

– Panie! drogi! miły! zlituj się nademną nieszczęśliwą sierotą! poradź, pomóż, ratuj Filipka.

Wyszyński oglądał się wciąż na okna domu. Usłyszawszy imię Filipka, rękę z chustką w dół opuścił, westchnął i zapytał:

– No! wzięli chłopca do wojska! Wiem o tem przecież, boś mi tak samo przed trzema miesiącami głowę suszyła prośbami, abym go ratował...

– Raz tylko, dobrodzieju, dalibóg, raz tylko prosiłam...

– Wzięli, to i wzięli! nie tacy jak on idą... panowie i hrabiowie do wojska idą... Głupia jesteś ty! co ja ci na to poradzić mogę? ... Ot darmo łazisz tu, mnie i siebie na nieszczęście narazisz... Siedziałybyś lepiej w chacie. Cóż? jakże ci teraz? Jasiak lepszy dla ciebie, niż był Maciej? Widzisz, że ja dobry jestem, nie zwierz żaden. Kiedy dowiedziałem się, że Maciej was krzywdzi, zaraz umieściłem was w czworaku Jaśka. Z Jaškami lepiej ci żyć, he? Ordynarją Antek bierze taką, jak i Jasiak, choć młodszy i słabszy. Chleba macie dosyć, he?

Otarł znowu chustką czoło i czekał na odpowiedź. Nie otrzymał jej jednak. Długiej mowy jego kobieta wysłuchiwała cierpliwie, ale, gdy umilkł, zamiast odpowiedzieć na zadawane jej pytania, zaczęła:

– Wzięli, to i wzięli. Ja wiem, że nie tacy, jak on, do wojska idą... na to już oni rodzą się, żeby iść... Płakałam, płakałam i płakać przestałam. Piśmienny, myślę sobie, i taki maleńki, taki śliczny... radę sobie da, ludzie go lubić będą. Bóg się nim

opiekować będzie.

– Więc czego teraz chcesz? – niecierpliwiąc się, zapytał Wyszyński.

W czarnych ciemnościach coś klasnęło, jakby dwie ręce załamały się z rozpaczą.

– Panie, drogi, miły! on chorowity, a jego wysyłają teraz daleko, daleko, na kraj świata. Pisał do mnie robaczek miły: „Matulu, nie wytrzymam... drogi takiej dalekiej nie wytrzymam, zimna tamtejszego i ludzi cudzych nie wytrzymam. Matulu, żeby mnie tu zostawili, tobym choć czasem mógł ludzi naszych zobaczyć i twoje stare oczy pocałować. Ale mnie już między wami nie bywać... pójdę i zamrę na końcu świata... przyjdź ty jeszcze do mnie, matulu, choć raz, niech choć pożegniam się z tobą!”

Poszłam zaraz do Ongrodu... Świata zza łez nie widziałam, ale szłam... przyszłam do kazarmów. – „Filipku!” wołam. Wyskoczył na schody... padł mi do nóg i w kolana całuje.... „Matulu, my już z tobą ostatni raz widzimy się na tym świecie!”

– Głupstwo! – sarknął Wyszyński – albo to on jeden w dalekie strony idzie... Idą inni i wracają...

– Oj dolo moja! – jęknęła kobieta – idą, idą, ale nie takie mizeractwo jak on... bladziuskie to było i słabiutkie od urodzenia... potem go ta gorączka schwyciła...

– A no! to czemużeś Antka lepiej nie oddała? ten zdrów i silny.

– Albow ja kogo oddawała! oj dolo moja! Filipka wezwali, poszedł. Starszy, dwadzieścia jeden roczek na Święty Józef

skończył, a Antkowi dopiero dziewiętnasty od jesieni się zaczął... Żeby chociaż zdrów był... ale takie mizeractwo... Zaczęliście go uczyć i nie skończyliście... Zapomnieliście o biednej sierocie. Parobka zepsuliście, a księdza nie zrobiliście...

Wyszyński poruszył się niecierpliwie.

– Ot! jeszcze mi tu wymówki prawić będzie! silnego chłopca przy niej zostawili, a cherlaka wzięli. To i czegoż chcesz więcej? Co ja tobie poradzę? Idź precz i nie włócz się tu darmo, bo jak się zgniewam, to cię z Antkiem całkiem z majątku wyprawię...

Uczył ruch do odejścia, ale z ciemności wychyliły się naprzód dwie ręce, które rękę jego pochwyciły, a potem głowa w czerwonej chuście, która pochyliła się nisko i rękę tę pocałunkami okrywać zaczęła.

– Panie najdroższy! – pośród pocałunków szeptała kobieta – zmiłuj się... ty mądrzejszy odemnie i od nas wszystkich, biednych ludzi... Daj radę!.. Gdzie mam iść, kogo prosić, żeby jego daleko nie ślali, żeby jego tu zostawili... żebyście sami do miasta pojechali... macie znajomych różnych... możebyście co dla niego wykołatali... toż to twoje rodzone dziecko... toć ja przez ciebie całe życie nieszczęśliwa byłam... Ani mię družki na dzieży sadzały, ani mi do ślubu śpiewały, ani mi nikt w gospodarstwie nie pomagał, ani nikt mnie biednej nigdy nie żałował!

Nagle przerwała. Podniosła głowę. Czarne, zapadłe, splakane oczy błysnęły i utkwily w twarzy mężczyzny.

– Paniczu! Stefanku!... ja żalu do ciebie nie mam... Nie

przeklinałam cię dotąd i przeklinać nie będę. Lubiłam cię jak swoją własną duszę. Miej litość nademną i Filipka mego wyratować pomóż.

Wyszyński czuł się zakłopotanym i rozrzewnionym. Z nogi na nogę przestępował, głośno sapał i ciągle mruczał:

– No i czegoż? cóż? dość już! no dość! pomogę, poradzę się... może...

Wtem rozległ się turkot bryczki. Wyszyński od stóp do głowy drgnął i szeptem Krystynie kilka słów cisnął:

– Zmykaj prędzej! zęby i ducha twego nie było! – A sam pośpieszył do wysiadającego z bryczki podróżnego. Powitawszy gościa, z nim razem wszedł do domu.

Rozdział drugi. Pan Kaprowski

Przybyły, pan Ludwik Kaprowski, był człowiekiem niezbyt już młodym, bo trzydzieści kilka lat mieć mogącym, ale był nadzwyczaj elegancki, śmiały, szczupły, niewysoki, od stóp do głowy okryty cienkiem i zgrabnie skrojonem sukniem. Nosił rude faworyty, które otaczały twarz bladą z czołem niskim i zbrudżonym, z oczyma rzucającymi zza szkieł spojrzenia ostre i przenikliwe.

Przyjechał w te strony, aby rozmówić się z chłopami sąsiedniej wioski z powodu procesu, który wytoczyli Dzielskiemu, jednemu z większych właścicieli ziemskich, o trzy włóki łąki i dwie włóki ornej ziemi, graniczącej z ich gruntami. Kaprowski proces ten prowadził, i głównym celem przybycia jego tutaj było wydobycie od chłopów na kosztą interesu pewnej sumy pieniężnej. Kiedy o celu swojej podróży opowiadać zaczął Wyszyńskiemu, ten wytrzeszczonemi oczyma wpatrywał się w mówiącego.

– Bój się Boga! – zawołał, to dzika pretensja! Ta łąka i ta ziemia jak świat światem do Dzielskiego należały! Ja tu, panie, urodziłem się... wiem...

Kaprowski spoważniał i ręce w kieszenie ubrania włożył.

– Hm! – rzekł – jeżeli nie wygrają, to... przegrają...

Zaśmiał się i pochylony ku Wyszyńskiemu, lekceważąco mówił:

– Gdyby, panie kochany, ci tylko prowadzili procesy, którzy je wygrać mogą, mybyśmy z głodu poumierali.

Szczególny, ukośny uśmiech, ukazujący wśród ryżego zarostu część szerniałych zębów, rzucił mu na twarz wyraz przebiegłego sprytu. Opowiadać zaczął o niektórych kolegach swoich, którzy na drodze tej dużo zarobili. Były to sprawy różne i dziwne. Ten – zagrodowego szlachcica wprowadził w proces z sąsiadem o kawał gruntu, mający wartość stu rubli, a wycisnąwszy z niego w ciągu lat paru dziesięć razy większą sumę, nietylko proces przegrał, ale jeszcze krowy i konie szlachcicowi na publiczną licytację wystawił. Tamten znowu złapał wdowę po małym właścicielu ziemskim, a po kilku latach obrabiania różnych jej procesów, sam folwark za bezcen i tak potajemnie nabył, że baba ani obejrzała się, jak z czworgiem dzieci na bruk miejski wyleciała... I wiele jeszcze podobnych spraw naopowiadał. Potem się chwalić zaczął, gdzie to on był, co widział, co czytał i zrobił.

Na tej pogadance zeszedł im wieczór, i w nocy w ekonomskim mieszkaniu zapanowała cisza. – Wyszyński tyłko nie spał i o życiu swem rozmyślał. Był zagrodowym szlachcicem. W ojcowej zagrodzie na piętnastu morgach ziemi braci Wyszyńskich wyrosło aż czterech. Dwaj starsi pożenili się i pozostali na miejscu, dwaj młodszy w świat poszli. Stefan nie poszedł daleko. Rażny, zgrabny, uniżony, z łatwością otrzymał w dobrach krasnowolskich miejsce oficjalisty. Na folwarku tym służyła wtedy słusna, zgrabna, czarnooka dziewczka – Krysia. Wyszyński

rozkochał się w niej tak, że zapomniał, iż była chłopką. Kształtami przypominała młodą brzozę, oczy jej pełne płomieni, zza ust koralowych ukazywała w uśmiechu śnieżne zęby, a gdy rozplotła warkocze, chowała się do pasa w płaszczu kruczych włosów. Pracowitą była, bo pośród cudzych ludzi nie otrzymywała darmo kęsa chleba, a nieśmiała i uległa, bo nad sierotą i bezdomną wszyscy wszystko mogli.

On był podówczas chłopcem zgrabnym i żwawym: czoło miał białe przy ogorzałej twarzy, płowy wąsik nad różową wargą, a w oczach ogień. Pokochali się młodzi, zdawało się im, że kochaniu temu końca nie będzie. Wyszyński dwa, czy trzy razy z wielkim gniewem i hałasem wypędził z izby czeladniej wiejskich swatów, którzy przychodzili piękną, hożą i pracowitą dziewczkę brać za żonę dla gospodarskich synów. I trwało tak lat kilka. Raz wypadło mu pojechać na parę tygodni w inne strony za interesem. Tam poznał przypadkiem młodą i bogatą pannę szlacheckiego rodu. Zrazu, kochając jeszcze Krysię, ani pomyślał o pannie. Powoli jednak uległ namowom. Przyjaciele zaswatali, do panny powieźli, zaręczyli i ożenili. Gdy państwo młodzi wrócili do domu, wysoka i czarnowłosa chłopka z twarzą młodą, ale zoraną zgryzotą i łzami, z jednym dzieckiem malutkiem, które prowadziła za rękę, a drugim u piersi, wyszła z ekonomskiego domu. Długo jeszcze, gdy Wyszyński wspominał o chłopce, coś mu się takiego około serca robiło, że twarz chustką ocierał, spluwał i co prędzej szedł w pole, aby pracą zdławić robaka. Ale z czasem, gdy porodziły się córki, gdy zaczęły się

zbierać pieniądze, już tylko od czasu do czasu wspominał o dawnej kochance. Taka właśnie chwila nadeszła obecnie.

– Co ja jej poradzę? – myślał – albo ja mogę Filipkowi tu w czym pomóc? Biorą do wojska – biorą, szlą żołnierza daleko – szlą. Com ja za osoba, żeby do takich interesów się mieszać. Możeby to Kaprowskiego się poradzić. Strasznie sprytna to bestja... i stosunki ma... Pójdę, zapytam się, czy nie znajdzie jakiej rady. Prośbę może podać od matki, żeby chłopca z racji choroby zostawili. Ale znów, jak Kaprowski, broń Boże, przed żoną się wygada, będzie źle... Lepiej już nic mu nie mówić. At, czy to jej jednej taka bieda? Nic się jemu nie stanie. Świata kawał zobaczy i na człowieka wyjdzie. Baba – zawsze babą. Za synem przepadała i przepada, to i wymyśla niewiedzieć jakie historie. Powiedziałbym Kaprowskiemu, ale lękam się, żeby przed żoną się nie wygadał. Lepiej już nic nie powiem... Co tam! baba popłacze i tyle, a Filipek za kilka lat powróci...

Ręką machnął, położył się i usnął.

Rozdział trzeci. Usłużny doradca

Krystyna, opuściwszy folwark, szła znowu błotnistą drogą w ciemnościach, i znacznie powolniej niż przedtem. Czegóż już teraz spieszyć się miała?

– Taka dola moja, jak ta ciemna nocka! – półgłosem mówiła. Zresztą milczała.

Wiatr coraz silniej zaczął miotać jej siermięgę; chustka, którą na głowie miała, tak była zmoczona, że strumienie wody lały się z niej na uszy i szyję. Z pod bosych jej nóg tryskały z kałuż strumienie rzadkiego błota. Po przebyciu kilku staj znowu przemówiła:

– Ot, jeszcze nie śpią! Może dziecko chore.

Słowa te wywołało drobne, czerwone światełko, które błyskało pomiędzy ciemnymi zupełnie zabudowaniami Wólki. Zeszła z drogi, chwilę szła po zorany zagonie, pod ścianę stodoły czy obory, potem przelazła przez niewysoki płot jakiś, i w ten sposób skróciwszy sobie drogę, znalazła się u drzwi budynku, w którego jednym malulkiem oknie błyszczało owo światełko. Budynek ten był tak zwanym czworakiem, zawierającym mieszkanie dla rodzin czterech parobków, z których każda miała tam posiadać izbę i komórkę z osobnym wejściem. Ale gospodarstwo w Wólce wymagało parobków ośmiu; czworak zaś znajdował się tam jeden. Rządca dóbr był oszczędnym i nie chciało mu się budować czworaku drugiego.

Dość dawno temu, zapytał Wyszyńskiego.

– Co robić? budować w Wólce drugi czworak, czy nie budować?

– Nie budować, Wielmożny panie. Po co budować? – odrzekł Wyszyński, który chciał przypodobać się rządcy.

– A jakże będzie?

– W każdym mieszkaniu zmieszczą się dwie familje.

– Doprawdy? będą mogły się zmieścić?

– Oj, oj! czemużby się nie zmieściły? Czy to im wygod jakich potrzeba?

Mieściły się istotnie, bo i co miały robić? Parobek jest parobkiem, dlatego że nim być musi, tu czy tam, ale musi. W Wólce gorzej niż gdzie indziej nie było, a i z mieszkaniem nie wszędzie było lepiej. Jasiek służył tu już oddawna, mieszkając wspólnie to z tymi, to z owymi ludźmi. Przed rokiem dano mu za współnika mieszkanie młodego parobka Antka i matkę jego Krystynę, których przeniesiono tam od innego parobka, Macieja, dlatego że Maciej łajał Antka od bękartów, a Maciejowa Krystynę parę razy za włosy po izbie ciągała, przypominając jej, jaką była i skąd swoich dwóch synków wzięła. Jaśkowie byli spokojnymi ludźmi i umieli żyć w zgodzie ze wszystkimi. Z Krystyną i jej synami zaprzyjaźnili się nawet, dlatego może że matka młodego parobka nie tylko kłótni nie rozpoczynała, ale zaczepiona milczała, a dzieci Jaśków strasznie polubiła i doglądać je pomagała, tak, jak gdyby nie były jej cudzemi. Teraz we drzwiach izby ukazując się, pozdrowienie wymówiła:

– Niech będzie pochwalony...

– Na wieki wieków – odpowiedziały jej trzy głosy męskie i jeden niewieści.

Izba była obszerną, ale bardzo niską, ze ścianami i sufitem prawie do czerności zakopconemi, z podłogą ubitą z gliny i jednym małym oknem, przez którego ramy wlatywały powiewy marcowego wiatru. Dość obszerną będąc, izba ta miała pozór wielkiej ciasnoty, najprzód z powodu niskości swojej, potem dlatego że napełniało ją mnóstwo gospodarskich statków, jako to: ław, stołów, krosien tkackich, których było dwoje, niecek, balji, wiader, garnków, narzędzi do czesania lnu, motowideł, beczulek z kwaszonemi burakami i kapustą, worków zawierających kartofle, zboże niemełte, mąkę, i t. d. Róg izby zajmował piec z głębią czarną, jak otchłań, z przypieckami i podpieckami. Na piecu widać było cztery boscie nóżki dziecięce, wyglądające z grubych koszulin, pod piecem spały trzy kury i jeden kogut; na przypiecku leżała kobieta, okryta kołdrą w domu utkaną, – chudą, ciemną ręką poruszająca od czasu do czasu kołyskę; z łozy uplecioną i u belki sufitu na grubych konopnych sznurach zawieszoną.

W kołysce spało dziecko, kilka dni mieć mogące. Kobieta, leżąca na przypiecku, była Jaśkowa, słaba jeszcze po odbytych przed kilku dniami połogu. Dawniej bywała poleżała dzień jaki, na drugi już wstawała, jeżeli nie do wszystkich naraz robót, to przynajmniej do skrobania kartofli, gotowania i doglądania starszych dzieci. Tym razem jednak słabowała dłużej niż zwykle,

wychudła jakoś i wybladła niewiadomo dlaczego. A że dnia tego i druga gospodyni mieszkania nieobecna był, wieczerza spóźniła się znacznie. Jasiek i Antek gotować ją zaczęli po powrocie z pola, które orali do zmroku, po nakarmieniu i napojeniu swoich par koni, po umieszczeniu pługów we właściwym miejsca i krótkiej kłótni z innymi parobkami. Teraz przed ogniem, palącym się w piecu, drewnianą łyżką od czasu do czasu mieszając w garnku, stał jeden tylko Antek, parobek młody, przystojny, z jasnymi jak len włosami i różnym spojrzeniem błękitnych oczu. Jasiek, chłop barczysty, wąsaty z ciemnym zarostem dokoła śniadej twarzy i ciemnym roztropnym okiem, siedząc na ławie za stołem, rozmawiał z gościem. Siedział zgarbiony, łokcie na stole rozpościerał, zpod brwi gęstych dość łagodnie, ale chmurnie i jakby nieufnie, spoglądał. Gość przeciwnie, suchy był, sprężysty, wyprostowany; zwiędłą, bladawą twarz jego z długim nosem i spiczastą brodą otaczał krótki, siwiejący zarost. Szare, małe jego oczy patrzyły bystro, śmiało, zuchwale nawet, czasem w błyskach ich świeciła srogość, czy chciwość. Ubranie miał z żółtawego sukna, ale wcale inaczej niż chłopskie siermięgi skrojone, połyskujące metalowymi guzikami i z brązowym medalem u pętlicy zawieszonym.

Wejście Krystyny nie przerwało rozmowy Jaśka z gościem. Odpowiedzieli jej: „Na wieki wieków!” i wcale się nią dalej nie zajmowali. Ona kiwnęła głową synowi, który jej takim samym kiwnięciem odpowiedział. Stała przed piecem, łokieć oparłszy

na dłoni, drugą dłonią brodę podparła i wpatrzyła się w płomień. W zarysie drobnych jej ust, w sposobie, jakim sfałdowały się policzki i w wyrazie nieruchomych źrenic, była przepaść smutku. Jasnowłosy parobczak mieszał w garnku zacierkę z sadłem, a patrząc na matkę, zapytał:

– I cóż, mamó?

Nie zmieniając postawy ani kierunku spojrzenia, odpowiedziała:

– Nic, synku. Pójdzie Filipek nasz na kraj świata i nie zobaczą już go oczy moje. Widać, że dla nas biednych żadnego ratunku już niema.

Antek westchnął i głową pokiwał. W kołysce zaskwierczało dziecko. Krystyny zaduma prysnęła. O osuszaniu odzieży swej i rozgrzewaniu przemokłych nóg wcale nie myślała. Do przypiecka prędko podeszła i pochyliła się nad chorą. Poszeptały coś z sobą, chora stękając odwróciła się twarzą ku izbie, Krystyna wyjęła dziecko z kołyski i do piersi je podała. Potem na skraju przypiecka usiadła i, ręce na kolanach złożonywszy, pierwszy raz na rozmowę Jaśka z gościem uwagę zwróciła. Przed rozmawiającymi stała butelka z wódką i cynowy kieliszek. Częstowali się wzajemnie z grzecznością wielką, po każdym wychylnym kieliszku zamieniając się wyrazami: „Na zdrowie!” Wychylane kieliszki nie były jednak liczne. Jasiak nie był pijakiem. Gość przekonywał o czymś Jaśka, do czegoś nakłonić go usiłował. Z niedopitym kieliszkiem w rękę, wyprostowany, bystre i świecące oczy w twarz parobka wlepiając, mówił: „Jak

Boga kocham. Jasiek! Żebym był na twojem miejscu, dawno bym już w swej własnej chacie siedział, jadł, pił i o nikogo nie dbał. Czy tobie tak dobrze na parobczym chlebie, że stryjowi na swojej własnej ziemi panować pozwalasz?”

Parobek ciemnowłosą i ciężką głową zwolna potrząsał.

– Oj, dobrze! – odpowiedział – żeby moim wrogom tak dobrze było! Ale cóż robić! Człowiek dzieckiem był jeszcze, kiedy źli ludzie skrzywdzili, zwyczajnie sierotę bez ojca. Jak tylko ojciec zmarł, stryj zaraz cały grunt i osadę i wszystko na swoje imię przepisał. Mnie, powiada, komisja zrobiła gospodarzem, to i grunt cały mój, a brat powiada, u mnie parobkiem był, to i do bratanka tu nic nie należy. Ludzie mi poradzili, żebym szedł do sądu, a on sobie najął adwokata, że jak zaczął czekać, tak wszystko wyszukał, czego chciał. A ja bez wszystkiego zostałem i z gospodarskiego syna na parobka wyszedłem.

Zwolna ręką machnął, i wódki trochę do kieliszka wlawszy, głową ku gościowi skinął:

– Na zdrowie! – rzekł.

– Cóż robić? – mówił dalej – co przepadło, to przepadło. Z żonką i dziećmi z głodu nie pomrzemy. Teść sto rubli posagu dał... Bogaty... jest ogrodnikiem... Dałby i więcej... „Jak będziesz miał, Jaśku, za co kawał ziemi kupić, to ja ci drugie sto rubli dodam”... powiedział... Może Bóg Wszechmogący da, że kupię... żonka trochę zarobi... i z pensji zostanie się coś niecoś... siaki taki grosz jest...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.